

Pojednani

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

POJEDNANI

Bolesław Prus

Jest w Warszawie mnóstwo ludzi, których możnaby nazwać „mijającymi,” i sporo mieszkań, które zasługują na tytuł „przechodnich.”

Człowiek „mijający” jest to jeden z tych setek, które nas codziennie wymijają na ulicach. Odznacza się tem, że można go spotykać wszędzie, że zawsze jest do wszystkich innych podobny, lecz że niepodobna jest określić jego samego. W ogrodzie mijasz go na każdej alei i przy każdej bramie; w restauracji mijają cię między nakrytymi stołami, albo przy bufecie; w teatrze usuwasz mu się w przysionku, albo on tobie obok krzesła.

Człowiek taki, mężczyzna lub kobieta, zawsze wygląda na lata średnie; ma cerę ani bardzo zdrową, ani chorowitą, odzież ani zbyt wykwintną, ani ubogą — przyzwoitą: wzrost niezbyt wysoki i nie niski, fizjognomję ani zbyt inteligentną, ani idjotyczną, która jeżeli wyraża coś, to chyba rozrządzenie.

Życie jego jest niewyraźne: nic o nim nie wiesz. Nie wiesz — jak się nazywa, nie wiesz — co robi, nie wiesz — z czego się utrzymuje. I nie tylko nic o nim nie wiesz, ale nawet nic nie chcesz o nim wiedzieć. Może zdziwiłbyś się, gdyby ci powiedziano, że taki człowiek rodzi się; lecz aniby ci przyszło do głowy martwić się, usłyszawszy, że któryś z nich umarł. Są oni od tego, ażeby robić ruch w mieście, jak krople wody są od tego, ażeby robić ruch w rzece; wychodzą Bóg wie skąd, płyną chodnikami spokojnie, mijają cię obojętnie i niewiadomo gdzie znikają.

Jak są ludzie „mijający” nas, tak bywają mieszkania „przechodnie,” które cechują się tem, że można je obejrzeć odrazu, z sieni albo z podwórza. Jest to zazwyczaj długa izba w oficynie, mająca trzy lub cztery okna, którą zapomocą kilku tynkowanych przepierzeń dzieli się na dwa albo trzy pokoiki, tudzież kuchenkę z przedpokojem.

Są to mieszkania suche, widne i ciasne; kuchenka biała, jeden pokój blado-żółtawy, drugi blado-niebieskawy, trzeci, jeżeli jest, perłowy. Podłogi myje się raz na kwartał, ściany odświeża się raz na trzy lata. W pewnych godzinach zagląda tam słońce, w innych ukazuje się woda w wodociągu; na zimę zakładają się podwójne okna. Przez podłogę słycać rozmowy, prowadzone na niższym piętrze, przez sufit kroki lokatora z wyższego piętra, a przez ścianę zegar, który wybija godzinę w sąsiedniej kamienicy.

W takich mieszkaniach nikt się nie rodzi, nikt się nie wychowuje, nikt nie umiera, bo nikt nie osiedla się tu na stałe. Każdy wprowadza się na krótki termin, płaci miesięcznie, pozwala mnożyć się karaluchom; a gdy pociemnieją ściany od pyłu, i z każdego kąta na środek pokoju zaczyna się wysuwać śmiecie, człowiek bez żalu wyprowadza się na nowy lokal, gdzie ściany są świeżo pomalowane i umyta podłoga. I znajduje takie same warunki bytu: takie same widne i ciasne pokoiki, w tych samych miejscach gwoździe, z tą chyba różnicą, że na dawnym mieszkaniu słońce pokazywało się o jedenastej z rana, na nowym zaś o pierwszej po południu.

II.

Jedno z podobnych mieszkań, niedaleko ulicy Marszałkowskiej, na drugim piętrze, zajmowali przez jakiś czas czterej studenci z wyższych kursów, panowie: Kwieciński, prawnik, Leśkiewicz, przyrodnik, tudzież Gromadzki i Łukaszewski, medycy.

Pan Kwieciński był to piękny młodzieniec: wysoki, śniady, z ciemnymi oczyma, czarnym wąsikiem i bardzo starannie utrzymanemu włosami. Odznaczał się doskonałym humorem i niezwykłą wrażliwością serca. Przed dwoma tygodniami wrócił ze wsi, gdzie w czasie wakacyj zajmował się guwernerką i prawie zaręczył się z osiemnastoletnią siostrą swojego ucznia. Obecnie zaś wszedł w bardzo ścisłe stosunki z pewną magazynierką, co już nawet odbiło się na jego kieszeni i zarysowało się na fizjognomji, nadając jej odcień powagi i znużenia.

Z powodu piękności i nazwiska, jeszcze w gimnazjum koledzy mianowali go „Kwiatkiem.” Że zaś na pierwszym kursie pewna bona zrobiła mu awanturę, wołając na podwórze: „Ja ci tego nigdy nie zapomnę!” — więc od tej pory nazywano go „Niezapominajką.” Kwieciński z początku martwił się przezwiskiem; gdy jednak liczba jego zmartwień poczęła zwiększać się z każdym rokiem, więc uspokoił się, tem bardziej, że przezwisko nie robiło złego wrażenia na pannach.

Najgłębszem jego pragnieniem było dobrze skończyć uniwersytet i zostać sławnym adwokatem. Przedewszystkiem zaś — zmienić lekkomyślny tryb życia, zerwać z nieustannymi miłostkami i zostać wiernym jednej wybranej kobiecie. Zachodziła tylko kwestja: której? — gdyż miał kilka zaprzysiężonych, z których każda uważała go za swoją własność.

Jakby dopełnieniem Kwiecińskiego był Leśkiewicz, przyrodnik, także brunet, ale niski, zgarbiony, dziobaty, z brodą, która mu zarastała pół twarzy i nadawała fizjognomji ponury wyraz.

Dusza pana Leśkiewicza również nie знаła spokoju, lecz bynajmniej nie z sercowych powodów. Był on stypendystą, więc co pół roku musiał dobrze zdawać egzamin, — dzięki czemu przez trzy miesiące w każdym półroczu martwił się tem, że „trzeba się wziąć do roboty,” a przez miesiąc rozpaczał, że już za późno, — lecz egzamin zdawał.

Troska egzaminacyjna nie była najmniejszą z goryczy jego życia, — czuł się bowiem ciężko chorym na żołądek, serce i płuca; wątpił, czy się kiedy wyleczy, a nie spotkał dotychczas lekarza, któryby... poważnie traktował jego chorobę.

— Widocznie choroba moja jest jeszcze ukryta — myślał, ciągle kręcąc się między medykami i prosząc, ażeby go opukiwali.

W tym nawet celu zbliżył się do Gromadzkiego, który przeszedł na piąty kurs i słynął jako tęga głowa. Leśkiewicz w zeszłym półroczu zamieszkał w jednym pokoju z Gromadzkim i z całym zaufaniem opowiedział mu o swych chorobach, burzliwie spędzonej młodości, nareszcie o dziedziczności, która fatalnie ciążyła nad płucami i żołądkami wszystkich Leśkiewiczów.

Czego chciał wzamian za swoją nieograniczoną szczerą... Prawie niczego. Trochę serca i trochę wiary. Tymczasem Gromadzki, wysłuchawszy jego najgłębszych tajemnic, sam o sobie nic, ale to nic nie opowiedział mu wzamian; tylko uśmiechał się obłudnie przy opisywaniu chorób, a wkońcu oświadczył publicznie, że Leśkiewicz jest zdrow jak koń, i jeszcze nazwał go „śledziennikiem”, co inni przerobili na „Śledzia”.

I otóż, od kilku miesięcy, z niego, Leśkiewicza, poważnego i co najmniej zasługującego na współczucie, koledzy zaczęli lak żartować, że prawie już z nikim nie rozmawiał o swoich chorobach. W dodatku zaś przezywali go „Śledziem”, co również nie było przyjemnem dla młodzieńca, który zawsze serjo patrzył na życie.

Leśkiewicz nigdy nie śpieszył się z manifestowaniem swoich uczuć; więc choć w pierwszej chwili ciężko obraził się i chętnie starłby Gromadzkiego z powierzchni ziemi, nie zmienił jednak stosunków. Owszem, do wakacyj mieszkał z nim w tym samym pokoju i nawet rozmawiał o rzeczach obojętnych. Ale stracił do niego zaufanie, nazywał go „Kretem”, który wkopuje się w cudze tajemnice, a żeby je wyśmiać, a do kolegów nieraz mówił:

— Jest to jedyny człowiek, który na mnie nigdy nie powinien rachować. Przekonałem się, że jest pozbawionym uczuć egoistą, a nie zdziwię się, jeżeli kiedy zrobi jakie świństwo, nie licząc tego, co zrobił ze mną.

A choć Leśkiewicz po wakacjach sprowadził się na dawne mieszkanie (gdyż lubił dwu innych kolegów: Kwiecińskiego i Łukaszewskiego), już nie stanął w pokoju z Gromadzkim; rozmawiając zaś z nim, był posępny i uszczypliwy.

Nareszcie Gromadzki był to szczupły blondynek z rzadkim zarostem, zdolny, bajecznie pracowity, zamknięty w sobie jak ogniotrwała kasa. Nic nie wiadano o nim: ani jaką ma rodzinę, ani co zarabia, ani gdzie jada. Egzamina składał świetnie, uczył się nocami, wieczorami dawał korepetycje; za wpis i mieszkanie płacił regularnie; niekiedy zaś ukradkiem łątał sobie obuwie i odzież, w czym miał wielką wprawę.

Posądzano go o skąpstwo albo dziwactwo; w rzeczywistości był to biedak, który okropnie wstydził się swojej biedy i krył się z nią jak z występkiem. Najśmielszem jego marzeniem było skończyć medycynę i dojść kiedyś do takiego stanowiska, aby mógł codzień jadać obiady. A gdyby jeszcze nie potrzebował sam reparować munduru i zamazywać atramentem białych szczelin na butach, uważałby się za zupełnie szczęśliwego.

Łukaszewski jeszcze nie powrócił z wakacyj.

III.

W połowie września, w niedzielę, około jedenastej z rana, trzech młodzi panowie znajdowali się w mieszkaniu.

W pokoju blado-niebieskim, gdzie znajdowało się jedno łóżko żelazne, drugie drewniane, żółta szafka na rzeczy i kilka półek, napełnionych książkami, przy stole, pod otwartym oknem, siedział Gromadzki. Był już od stóp do głów ubrany, nawet mundur miał zapięty na wszystkie guziki, co trochę krępowało go w ramionach — i pisał. Raczej przepisywał drobno i kaligraficznie jakiś rękopis, źle zeszyty, niewyraźny i w dodatku mocno pokreślony.

Właściwie nietylko pisał, ale jeszcze pił zimną herbatę, po której gęsto pływały liście, palił papierosa i kiedy niekiedy zagryzał kawałkiem chleba, który zdawał się posiadać wszystkie dietetyczne zalety, oprócz świeżości.

Niekiedy Gromadzki rzucał pióro i przeciągał się, jak człowiek, któremu dokuczyło przepisywanie. Wnet jednak spoglądał na porządkowy numer stronicy, odkładał kilka kartek welinowego kajetu, jakby naradzając się z niemi, otrząsał się, może dla odegnania nudów, i pisał dalej. Wogóle robił wrażenie pracownika, który nie zachwyca się swoim zajęciem, lecz chce je wykonać na czas.

Niekiedy podnosił głowę i patrzył na ścianę przeciwległej oficyny. Wówczas zdawało mu się, że między oknami czyta jakiś bardzo długi spis tanich i gorących potraw i zastanawia się: które z nich są najtańsze, najobszerniejsze i najgorętsze? A potem uśmiechał się na myśl, że dzisiaj właśnie, gdy skończy przepisywać arkusz dwudziesty piąty, zaprowadzi się w nagrodę do Wróbla, wybierze kilka tanich, tłustych i gorących potraw, zje przytem mnóstwo chleba darmo i wypije kufel piwa.

Wkońcu nawet sformułował aforyzm: „Kto wczoraj nie jadł gorącego, a dziś zarobił półtora rubla, ten ma prawo wydać na siebie pół rubla.” Aforyzm podobał mu się, chociaż na myśl wydania pół rubla przebiegły go lekkie dreszcze.

— A jednak puszczyć się... — mruknął.

Nagle ocknął się i przez otwarte drzwi wychylił głowę do pierwszego pokoju, jakby lękając się, ażeby jego rozpustnych projektów nie podsłuchali koledzy.

Lecz koledzy nie zajmowali się nim. Kwieciński, zupełnie ubrany, tylko bez mankietów i munduru, leżał na łóżku, z rękoma pod głową, siłując to prawą, to lewą nogą dosięgnąć szafy, oddalonej o łokieć. Leśkiewicz zaś, ubrany w krawat i starą marynarkę (dolna część jego istoty znajdowała się jeszcze w płóciennym negliżu), siedział na amarantowym foteliku, którego przeszłość zdawała się być nader burzliwą. Leśkiewicz w prawej ręce trzymał fajkę, lewą odniechcenia opierał na dużym stole, na którym stygnął samowar, wałały się okruchy bułek i dwie skórki serdelków.

— No, i co ty wyrabiasz ze swojemi nogami? — odezwał się Leśkiewicz, patrząc z politowaniem pełnym goryczy na gimnastyczne zabiegi Kwiecińskiego.

— Stawiam kabałę: iść, czy nie iść do Tekluni? — odparł Kwieciński.

— Jeżeli powiedziałeś sobie, że nie pójdziesz, to nie idź.

— W takim razie ona może przyjść...

— Masz, djable, kaftan! — odezwał się w drugim pokoju Gromadzki, na którym, pomimo skromności, czy może z powodu jego skromności, imiona żeńskie robiły silne wrażenie.

— A ty, Śledziu, dlaczego się nie ubierasz? — wtrącił Kwieciński, chmurnie spoglądając na negliż Leśkiewicza. — Pominąwszy, że może kto wejść do nas...

— Teklunia!... — zachichotał Gromadzki.

— Ale nawet nieładnie tak pokazywać się sąsiadom zprzeciwka — dokończył Kwieciński.

— Wiesz przecie, że mam robotę — odparł Leśkiewicz. — A jeżeli ubiorę się, z pewnością wyleżę na miasto... Znam siebie. — Więc rób.

— Tak, rób... Ale poco?... Kto mi zaręczy, że nie umrę po ostatnim egzaminie?...

I potarł sobie palcem usta, ażeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

— No, zaraz po egzaminie...

— Więc w kilka lat później. A wtedy co mi przyjdzie z tego, że będę umiał trochę więcej, aniżeli na stopień kandydata? — mówił, krzywiąc się, Leśkiewicz. — Bakterje ani nasycą się moją uczonością, ani otrują.

— Ale nauka... postęp... — wtrącił Kwieciński.

— Postęp!... cha... cha!... — zaśmiał się Leśkiewicz. — Właśnie teraz myślałem, że kto wie, czy Europa nie dosięga kresu swoich postępów, i czy już nasze wnuki nie zapadną w chińską rutynę, która przeżuwa i zapomina stare rzeczy, nie tworząc nic nowego.

Odetchnął, jak człowiek, próbujący, czy jeszcze może oddychać, i wziął się za lewy bok.

— Otrułeś się serdelkiem, Śledziu, i barłozysz...

— Nie barłozę!... — oburzył się Leśkiewicz. — To są moje najgłębsze myśli, któremi tylko nie mam zwyczaju dzielić się. Jak roztopiona lava krzepnie w skałę, jak organiczne tkanki wapnieją, tak wapnieją całe społeczeństwa... Zamiera w nich ciekawość, popęd do rzeczy nowych i stają się podobnymi do mrowisk, albo do rojów pszczelnych, gdzie od tysięcy lat wszystko robi się bardzo porządnie, bardzo systematycznie, ale rutynicznie i nieświadomie...

— Skąd, u diabła, pochodzą ci takie głupie myśli? — krzyknął, zrywając się z łóżka, Kwieciński.

— Bo widzę kresy cywilizacji tam, gdzie ty ich nie dostrzegasz — odparł podniecony Leśkiewicz. — Spójrzj choćby na drobiazgi: na stół, na krzesło... Czy myślisz, że za pięćset lat będzie coś lepszego w miejsce stołów i krzeseł?... Może sądzisz, że ta bułka będzie inna?... A może wyobrażasz sobie, że ludzie zaczną budować inny typ domów, i zamiast dzisiejszych podziurawionych pudeł, zaczną wznosić budynki, podobne do kryształów, albo do skał fantastycznych?...

— I to mówi przyrodnik!... — wołał zaczerwieniony Kwieciński.

— Właśnie przyrodnik, który wie, że już nie odkryje się stu tysięcy nowych gatunków roślin i zwierząt, nie wynajdzie się kilkudziesięciu nowych pierwiastków, ani kilku nowych sił, takich, jak ciężkość, ciepło, elektryczność... Już dochodzimy do kresu... — zakończył śpiewnym tonem, niby od niechcenia ugniatając sobie żołądek.

— To może wy, ale nie my — przerwał Kwieciński. — Patrzące tylko, ile milionów ludzi zyskało od stu lat wolność osobistą, dobrobyt i oświatę... Zobacz, jak dziś traktują jeńców, rannych, a nawet przestępców... Pomyśl, do czego może dojść prawo międzynarodowe... Zrachuj, ilu ludzi z najniższych sfer przenosi się na wysokie stanowiska...

— Zapytaj się Gromadzkiego, kto był zdrowszy: jego ojciec w szkole elementarnej, czy on w uniwersytecie, — a zobaczysz, co to jest nasz postęp... — odparł z ironją Leśkiewicz i zaczął sobie rachować puls.

Gromadzki zerwał się od stolika i stanął we drzwiach.

— Naturalnie, że jest postęp!... — zawołał. — Mój ojciec był tkaczem, wuj felczerem, a ja już będę lekarzem...

— Zato mój pradziad miał dziesięć wsi i dwa miasta, a ja nie mam dziesięciu koszul. To mi dopiero ulepszenie, gdzie, ażeby jakiś tam Gromadzki trochę zyskał, Leśkiewicz musi stracić

wszystko!...

— To właśnie dobrze, że rodziny niezużyte wysuwają się naprzód, a upadają familje dziwaków i hipochondryków — odburknął Gromadzki, wracając do przepisywania.

Leśkiewicz poruszył się na ponsowym foteliku i ze złości ugryzł piórko u cybucha. Ażeby nie dopuścić go do odpowiedzi Gromadzkiemu, Kwieciński wtrącił:

— Właśnie, dzisiejszy postępek najlepiej uwydatnia się w rozlewie praw, oświaty, a nawet nauki na wszystkie warstwy społeczne.

— Piękna oświata!... — odparł, zmieniając ton, Leśkiewicz — przy której nawet ciężko znaleźć korepetytora dla malca...

— Masz chłopca?... — spytał Kwieciński, kontent, że przerwała się drażliwa dyskusja.

— Mam w trzeciej klasie kuzyna, za którego chcą płacić piętnaście rubli miesięcznie... Ale cóż?... Ty go nie weźmiesz...

— Nie mogę.

— Łukaszewski także nie... I choćbym pękł, nie znajdę faceta, którego śmiało mógłbym zarekomendować rodzicom. Bo nuż trafię na jakiego radykała, który mi palnie, że nawet za piętnaście rubli nie zechce uczyć potomka hipochondryków, skazanych na zagładę?... — mówił, śmiejąc się złośliwie, Leśkiewicz.

Kwieciński poznał, że ten niegodziwy żart wysłany był pod adresem Gromadzkiego, i oburzył się.

— Głupi ty jesteś, Śledziu, choć pozujesz na złośliwca — rzekł, patrząc na Gromadzkiego, który udawał, że nie uważa, o czym mówią koledzy, i zarumieniony powyżej uszu, pisał, wciąż pisał.

— Ale, jak cię kocham, Niezapominajko — ciągnął ze śmiechem Leśkiewicz — że ty jeszcze nie wiesz, do czego są zdolni demokraci i radykaliści...

Nagle umilkł, usłyszawszy znajomy głos na schodach. Jednocześnie Kwieciński schwycił za dzwonek, stojący przy jego łóżku, i ze wszystkich sił począł dzwonić, wołając przez okno:

— Barbarja!. Służba! tu... tu!... Jaśnie pan przyjechał!... Nawet Gromadzki rzucił pióro i rozpromieniony wybiegi do przedpokoju.

IV.

Drzwi od przedpokoju rozwarły się z impetem, i ukazał się w studenckim szynelu i czapce nabakier młodzieniec oryginalnej powierzchowności. Był to szatyn, duży i rozrostły, który cieszył się posiadaniem ogromnych rąk i stawiał zamaszyste kroki; robił przytem wrażenie człowieka, który, patrząc w jakiś odległy punkt, dąży tam z brutalną energią i rozpycha wszystkich po drodze.

Panowie: Kwieciński, Leśkiewicz i Gromadzki — stanęli rzędem w pokoju. Kwieciński krzyknął:

— Łukasz jest!

I w tej samej chwili wszyscy czterej zaczęli śpiewać:

— „Niech żyje nam!... niech żyje nam!... niechaj żyje, niechaj żyje, niechaj żyje, niechaj żyje nam!... Wiwat!...”

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że najgłośniej na swoją cześć wyśpiewywał nowoprzybyły medyk, sam pan Łukaszewski.

— No, jak się macie? — rzekł, szeroko otwierając ramiona, w których znalazł się szczupły Gromadzki.

Dwaj inni panowie rzucili się na szyję gościowi, przyczem Kwieciński pocałował go w lewe ucho, a Leśkiewicz w prawą łopatkę.

Po przywitaniu Łukaszewski rzucił czapkę na stół, między szklanki, szynel na łóżko Leśkiewicza, i ujawszy się pod boki, zawołał:

— Powariowaliście!... A to co?...

I kopnął nogą amarantowy fotelik.

— To fotel... — odparł obrażony Leśkiewicz. — Ale tamto co?...

I wskazał palcem do przedpokoju, gdzie w tej chwili weszła stróżka z walizą, a za nią mały chłopak, z wyrazem obawy na piegowatej twarzy, odziany w kapotę do samej podłogi, z tak długimi rękawami, że mu wcale rąk nie było widać.

— To?... — powtórzył Łukaszewski, obzierając się przez ramię. — To nic, to nasz Walek.

— Jaki nasz Walek? — zdziwił się Kwieciński, zwany także Niezapominajką.

Stróżka Barbara, osoba tęgiej budowy, z pięknie rozwiniętym biustem, rzuciła w kąt walizę, i wsunawszy ręce pod fartuch, zabiegała Łukaszewskiemu z prawej strony.

— Cóżto? — rzekła, pochylając głowę i mrużąc oko. — Cóżto, może teraz on będzie usługiwał panom?...

— A wam djabli do tego!... — odparł zuchwale Łukaszewski.

— Djabli?... — powtórzyła baba, podnosząc głos. — To pan płaci za usługę rubla na miesiąc, trzynaście dni niema pana w domu, i jeszcze będzie pan lokajczuków naprowadzał?... A pan myśli, że panu taki fąfel wyczyści buty porządnie, zamiecie pokoje?...

— Milcz, Barbarjo!. — zawołał Łukaszewski.

— Dołóż węgli do samowaru, niewolnico!... — dodał Kwieciński.

— Piękny lokajczuk!... — wtrącił Leśkiewicz. — Ależ on się ruszać nie może w swojej kapocie.

— Pocoś ty go, Łukaszu, przywiózł?... — dorzucił Gromadzki.

— A bodaj was do prosektorjum zanieśli! — krzyknął Łukaszewski, chwytając się dużymi rękoma za głowę.

Potem złapał za ramię Barbarę i rzekł:

— Baba... pyfl samowar, i gnaj do kuchni...

Baba spokorniała jak gołąbek i w jednej chwili znikła z samowarem w przedpokoju.

— Dobrze, ale co to jest?... — spytał nieustraszony Kwieciński, pukając nowoprzybyłego chłopca palcem w głowę.

— Walek, idź do kuchni... Zrzuć kapotę i zobacz, jak się nastawia porządny samowar... — rzekł Łukaszewski.

— Pocoś tu przywiózł tego świniopasa?... — odezwał się Leśkiewicz.

— Ażebyście w szkodę nie łazili — odparł Łukaszewski.

— Do nas niepotrzebny — odrzucił śledziennik — a ciebie, ani Gromadzkiego nie upilnuje...

— Aj, dowcip!... — mruknął Gromadzki. — W sam raz na podgardlaną kiszkę.

Łukaszewski wzruszył ramionami.

— Zaraz wszystko wam wytłomaczę — rzekł. — Ale ponieważ mam zwyczaj wiedzieć, z kim rozmawiam, więc może mi powiecie, co to za dzwonek i na co?

Teraz wystąpił na środek Kwieciński, mówiąc:

— To jest, widzisz, dzwonek brązowy, kupiony za czternaście groszy od handlarza, ażeby dzwonić na służbę.

— Przecież baba nie usłyszy go na dole.

— No, jeżeli baba go nie usłyszy, to ty usłyszysz, albo twój Walek — odparł Kwieciński.

— Aha! A ten podły mebel, który wyrzucono z publicznego...

Na te słowa Leśkiewicz spochmurniał. Włożył ręce w kieszenie, i odwróciwszy się od kolegi, zwanego Łukaszem, odparł:

— Trzeba być osłem, ażeby nie poznać, że to jest styl Ludwika...

— Którego Ludwika?... — zdziwił się Łukaszewski.

— Tego, który był markierem u Loursa — szybko wtrącił Gromadzki.

Leśkiewicz na znak pogardy zwinął usta w rurkę i mimowoli wziął się za puls. A ponieważ zdawało mu się, że puls uderza za prędko, więc postanowił już nie brać udziału w rozmowie.

— Powiedźże nareszcie o tym Walku — rzekł Gromadzki, mocno zadowolony z konsternacji Leśkiewicza.

Łukaszewski zamyślił się, jakby układając plan mowy; usiadł na krześle, spuścił oczy i zaczął:

— Wiecie, że „Popiel” jest na guwernerce w Miętuszyńce. („Popielem”, na cześć wielkiego baletmistrza teatrów, przezywano pewnego kandydata matematyki, który w ciągu trzydziestu praktycznych wykładów nie mógł nauczyć się kontredansa, skutkiem czego musiał porzucić zbiorowe lekcje tańca).

— Otóż Popiel — ciągnął Łukaszewski — spotkał tam chłopca, właśnie Walka, którego wszyscy bili, ponieważ był niezdatny do robót wiejskich.

— Do pasania bydła... — mruknął Leśkiewicz.

— Tak... Ale zato miał wielkie zdolności do rzeźbiarstwa i robót mechanicznych...

— Naprzykład do otwierania cudzych zamków — wtrącił półgłosem Leśkiewicz.

— Popiel tedy — mówił dalej Łukaszewski — zajął się chłopcem, nauczył go czytać, pisać i rachować... A kiedy teraz oto, w czasie wakacyj, wziął go przy nas na egzamin, panna Marja Ciechońska była tak zachwycona jego postęпами, że... postanowiłem wziąć go do Warszawy i kształcić dalej...

— Go znowu za panna Marja?... — spytał zdziwiony Kwieciński.

— Albo co nas obchodzi jakaś tam panna Ciechońska? — dorzucił Leśkiewicz.

Łukaszewski przez chwilę siedział ze spuszczoną głową, widocznie zakłopotany. Nagle zerwał się z krzesła i zawołał grzmiącym głosem:

— Eh!... co ja z wami będę gadał o rzeczach, na których się nie znacie...

— Na pannach Marjach znamy się — wtrącił Kwieciński. Łukaszewski błysnął oczyma.

— No, no... Niezapominajko, tylko bez kpin... Panny Marji możemy nie dotykać...

— Nawet nie możemy inaczej... — szepnął Gromadzki.

— Właściwa zaś kwestja przedstawia się tak — ciągnął Łukaszewski. — Jest biedny, ale zdolny chłopak, który na wsi zginie, a w mieście może się wyrobić na człowieka. Otóż tym chłopcem musimy się zająć...

— Niby... w jaki sposób?... — zapytał drwiącym tonem Kwieciński. — Chyba, nie czekając, aż go złapią na ulicy, oddać go do Osad rolnych, jak tylko nas okradnie.

— Albo do szpitala przy pierwszych objawach wysypki... — dorzucił Leśkiewicz.

— A! bydlęta! — wrzasnął Łukaszewski, zrywając się i wykonywając tak zamaszyste ruchy, jakby miał zamiar porozbijać ściany mieszkania, a kolegów powyrzucać za okno.— A! bydlęta! — powtórzył — ja wam robię łaskę, a wy kpicie?... Wiem już, coście warci, i zaraz dziś wyprowadzam się z chłopcem, ażeby nie oddychać jednym powietrzem z takimi łajdakami...

A! zmije!... — mówił, biegnąc po pokoju. — Trzy lata wdaję się z taką hołotą, głowę sobie dałbym uciąć, że to chłopaki porządne, a tu masz!... Ledwie zdarzyła się okazja, i otóż z tej szlachetnej młodzieży wylażą lichwiarze, szachraje, lombardziści i wszelkiego gatunku eksploatorowie... Dajcie mi roztworu sublimatu, ażeby umyć ręce, zakażone waszemi uściśnieniami!

— Ale o co ci chodzi, Łukaszu?... — przerwał zdziwiony tym wybuchem Gromadzki.

— Ty mnie się pytasz, hołyszu?... — krzyknął rozbestwiony Łukasz, tupiąc nogą. — Przecie sam nieraz mówiłeś mi, że gdyby nie pomoc dobrych ludzi, byłbyś szewcem albo organistą, a tak... będziesz lekarzem. Pozwólże i młodszemu hołyszowi nie pasać bydła, do czego nie ma ochoty, ale także starać się o prawo pisania recept.

Gromadzki zawstydzony cofnął się do stolika i dalej zaczął przepisywać niewyraźny rękopis, a Kwieciński wtrącił:

— No, niekażdy, kto jest złym pastuchem, musi zaraz być dobrym lekarzem...

— Więc może być dobrym adwokatem, albo chemikiem — odparł Łukaszewski.

— I umiejętnie fałszować wódkę, czy wody mineralne — dorzucił Leśkiewicz.

— Albo zostać pokątnym doradcą i odbierać nam klientów! — dopełnił Kwieciński.

— Nie bójcie się! — odparł zaperzony Łukaszewski — nim on zacznie konkurować z wami w fałszowaniu wódki, czy w pokątnych poradach, już nie będzie nietylko was, ale nawet tego cukru, który wyrafinują na waszych kościach.

Na wzmiankę o smutnym terminie, Leśkiewicz roztarł sobie piersi, jakby go zakłuło w płucach.

Kwieciński wzruszył ramionami i rzekł tonem perswazji:

— Poco się ty ciskasz? poco się pienisz?... Lepiej powiedz wyraźnie, czego chcesz?

— Chcę, ażebyśmy pomogli temu chłopcu kształcić się.

— Na lekarza, albo na prawnika — mruknął Leśkiewicz.

— Nawet na chemika od robienia margaryny, wszystko mi jedno — odparł Łukaszewski.

— Więc musi pierwej skończyć gimnazjum — omówił Kwieciński. — A jeżeli jest za stary i nie przyjmą go?

— To pójdzie do rzeźbiarza.

— Rzeźbiarze sami nie mają butów.

— No, to go oddamy do stolarza — zakończył Łukaszewski, któremu nie robiły subiekcji nagłe przejścia od uniwersyteckich szczytów do warsztatowego padołu.

— Tak... do stolarza... do rzemiosła, to nawet i ja mógłbym mu wyrobić miejsce — odezwał się Leśkiewicz.

— A widzisz — rzekł Łukaszewski. — Tylko musi gdzieś mieszkać i coś jeść.

— Mieszkać może u nas — wtrącił ze swego pokoju Gromadzki.

— Z głodu przy nas nie zdechnie — mruknął Kwieciński.

— No, widzicie... widzicie... — mówił już udobruchany Łukaszewski. — Mnie tylko o to chodziło... Wreszcie każdy z nas może go czegoś nauczyć...

— Ja będę mu wykladał niemiecki, kaligrafję i rysunki — rzekł Gromadzki, nie podnosząc głowy od stolika.

— Ja mogę wziąć jeografię i jeszcze co... — dodał Kwieciński.

— No, to ja będę go uczył arytmetyki — rzekł posępnie Leśkiewicz. — Tylko niech się pilnuje, bo mu łeb obedrę, i będzie wyglądał, jakby go móle zjadły.

— Wybornie! — krzyknął, śmiejąc się, Łukaszewski. — No, widzicie, jacy z was porządni faceci... Walek!... Walek, psia wiara (on inaczej nie rozumie), wylaż z kuchni i podziękuj panom.

Z kuchni wynurzył się chłopak z włosami w strąki i w odzieniu bardzo podobnym do kupy popielatych łachmanów. Niedobrze rozumiał, o co chodzi, ale ponieważ pan, Łukaszewski kazał mu za coś dziękować, więc obszedł wkoło mieszkanie i pocałował każdego z panów w rękę. Przy tej ceremonji Kwieciński rozczulił się, ponury Leśkiewicz wysunął do pocałunku rękę aż na środek pokoju, a Gromadzki tak się przestraszył, że od stolika skoczył pod przeciwległą ścianę, wołając na Walka:

— Dajże mi spokój!... Oszalałeś?...

— Ależ bestja obdarta! — mruknął Leśkiewicz. — Nie przypominani sobie, ażebym widział kiedy co równie oberwanego.

— Dziury na łokciach... ani jednego guzika przy spencerku... A spodnie, fiu!... fiu!... On je tu zgubi na schodach — mówił Kwieciński, wykręcając chłopaka na wszystkie strony.

— Nic nie wypatrzysz — odezwał się Leśkiewicz. — Trzeba odrazu złożyć kilka rubli i kupić jaką garniturzynę na Pocijewie.

— Rozumie się — wtrącił Łukaszewski.

— I to zaraz, dzisiaj — dodał Kwieciński.

Usłyszawszy to, Gromadzki zerwał się od stolika, pobiegł do kufra i po chwili wrócił. Zarumieniony, wzburzony, stanął na progu swego pokoju i chciał w te słowa odezwać się do kolegów:

„Moi kochani, mam całego majątku pięć rubli z czerni... A ponieważ jutro odbiorę za przepisywanie z osiem rubli, więc dzisiaj dam na chłopca... dwa ruble... Nawet trzy ruble.”

Tak chciał powiedzieć, ale nie śmiał odezwać się pierwszy, tem bardziej, że ze wzruszenia ręce mu się trzęsły i coś go chwyciło za gardło.

— Co tobie?... — zapytał go Łukaszewski, widząc niezwykle zachowanie się kolegi.

— Ja... ja... — zaczął Gromadzki.

— Nie masz pieniędzy? — spytał Kwieciński.

— Owszem... ja...

— Tylko mu ich żal — mruknął Leśkiewicz.

— Ja... ja... — krztusił się Gromadzki. W tej chwili zapukano do przedpokoju.

— Prosimy! — zawołał Łukaszewski. — Pewnie któryś z naszych...

V.

— Rozumie się!... Pan doktor dobrodziej nawet przez ścianę poznaje życziwego człowieka.

To wesołe powitanie wy płynęło z wnętrza osoby, ubranej w jasne palto i trzymającej w ręce połyskliwy cylinder. Gość był pulchny, biały, różowy, wygolony i uśmiechnięty; nienajmniejszą zaś ozdobę jego oblicza stanowił olbrzymi zarost, poczynający się na końcu brody, a rozłożony na wypukłych piersiach, jak ogon pawia. Cała wreszcie postać robiła wrażenie cherubina, którego Stwórca zbyt długo zostawił w wylęgowym piecu i pozwolił mu wyrosnąć do dwu centnarów żywej wagi.

Ułomności ludzkiej natury przypisać należy fakt, że pojawienie się tego pięknego zjawiska w mieszkaniu studentów nie obudziło między nimi entuzjazmu. Gromadzki razem ze swoją portmonetką cofnął się i zbladł, jakgdyby zobaczył upiora, Kwieciński był zakłopotany, Łukaszewski spochmurniał, i tylko Leśkiewicz, obrzucając nowoprzybyłego żółciowem spojrzeniem, zapytał:

— Skądże się pan tu wzięłeś?

— Wszakże sami panowie nazaczyli mi przyjazdy doktora Łukaszewskiego jako ostatni termin...

— Nie jestem jeszcze doktorem — odparł zimno Łukaszewski.

— Ale dziś trzynastego września, pięć dni zwłoki!... — zaśmiał się gość, pieszcząc delikatnymi palcami swój fantastyczny zarost.

— Dobrą ma pan policję — wtrącił Kwieciński, zwany Niezapominajką — bo Łukasz dopiero co wysiadł z wagonu.

— Boże uchojaj! cóż znowu za policja? — protestował gość. — Ale panowie tak serdecznie witali się z kolegą, że pół miasta wie o przyjeździe... Cóżto za chłopaczek?... ładny chłopak — dodał gość, pogłaskał chłopca pod brodę i strzepnął palce.

— Taki sobie zwyczajny Walek — objaśnił Łukaszewski.

— A paszport ma?

— Co za dziwna kwestja! — wtrącił Kwieciński. — To samo, co gdyby pana kto zapytał, czy rządcowie domów umieją pisać. Gość rozszerzył białe dłonie, jakby zabierając się do odlotu, i rzekł głosem, w którym czuć było mniej słodyczy, a więcej stanowczości:

— Zatem niech ten młodzieniec przyśle mi dziś paszport przez stróża, a dwadzieścia cztery ruble panowie będą łaskawi doręczyć mi zaraz. Idę właśnie do gospodarza, który mnie wezwał, a czuję, że zrobi awanturę za te pięć dni... Nawet właściwie za dwanaście dni, bo on zwykle pierwszego odbiera komorne.

Łukaszewski wydobył portmonetkę, to samo zamyślał zrobić Kwieciński; Gromadzki zaś, mocno zaaferowany, biegał po swoim pokoju, jakgdyby w rozmaitych kątach jego szukał pieniędzy. Tylko Leśkiewicz, zaopatrzony widać w duże kapitały, usiadł konno na amarantowym fotelu i, oparłszy ręce na poręczy, pytał drwiącym tonem:

— Cóż pański gospodarz taki pedant w odbieraniu komornego? Nie mógłby to jeszcze z tydzień zaczekać?...

Gromadzki nadstawił ucha; odsunięcie terminu zapłaty na tydzień wydało mu się nader szczęśliwym pomysłem, mimo że wniosek ten sformułował jego wróg, Leśkiewicz.

Piękny rządca zrobił się amarantowym jak fotelik.

— Bójcież się panowie Boga! — zawołał — nie narażajcie mnie wobec gospodarza! Przysięgam...

— Ale naco jemu tyle pieniędzy?... — badał Leśkiewicz.

— Panie, czy pan tego nie rozumie?... Tu idą podatki, tu odnawiaj kamienicę...

— Kiedy? gdzie? — odezwały się głosy.

— A to gaz, a to wodociągi, a to znowu kanalizacja... Panie — ciągnął rządcą — ile ta przekłeta kopanina zjada nam pieniędzy!... Dawnaż to historia, kiedy na Królewskiej burza (właśnie przez kanały) wyryła taką jamę, że, przysięgam Bogu, można było wsypać w nią pół Warszawy...

— Oho!

— Pół ulicy Marszałkowskiej...

— No, no!...

— Więc niechby tylko pół Królewskiej, a i to straszny wydatek... miliony!... — powiedział piękny rządcą, aż mu błyszczały oczy.

— Zdaje mi się, że pan trochę kalospintechromokrenizujesz? — wtrącił Kwieciński.

— Jakto? — spytał rządcą.

— No, trochę pan łżesz — objaśnił Leśkiewicz. Gość tak rzucił rękoma, że o mało nie upadł mu połyskujący kapelusz.

— Ehe!. — zawołał wzburzony — panom chodzą po głowach figle, a ja mam przykrości...

— No, daj już, daj, Śledziu, sześć rubli — wtrącił Łukaszewski. — Gromada, a nie zgubiłeś tam klucza do swojej kasy?...

— Zaraz!... zaraz!... — odparł Gromadzki tonem, w którym czuć było zgnębienie.

I stojąc pod oknem, jakby chodziło o mikroskopijne poszukiwania, szeroko otworzył sponiewieraną portmonetkę. Wydobył trzy ruble, potem rubla, znowu rubla i nareszcie zaczął z różnych skrytek wyciskać drobne, mruczając:

— Sześćdziesiąt kopiejek, siedemdziesiąt kopiejek, siedemdziesiąt pięć kopiejek, jest cały rubel!... — zakończył głosem, w którym było więcej melancholji niż triumfu.

Zebrać wszystkie bankocetle w jedną wiązkę, wymienić drobne na rubla i doręczyć rządcy — była to czynność, której wykonania podjął się Łukaszewski. Spełnił ją szybko i dokładnie, chociaż bez zwykłej mu zamaszystości; może dlatego, że moralny nastrój kolegów był w tej chwili dziwnie uroczysty.

— No, zdaje się, że jesteś pan zadowolony — rzekł Kwieciński.

— Ach, panie! — westchnął rządcą, z pośpiechem chowając pieniądze. — Kiedy po komorne idę do panów, to zupełnie jakbym miał ząb rwać... Moje uszanowanie... A o paszport tego chłopczyka będę prosił dziś...

I pędem wybiegł za drzwi, a potem ze schodów, aż zadudniło.

— Myślę — rzekł Leśkiewicz, wskazując głową na Walka — że ten młody uczonec nieprędko będzie miał garnitur, nawet z Pocijowa.

— Możebyśmy poszli co zjeść? — wtrącił Łukaszewski. — Wpół do pierwszej... nic w ustach nie mieliśmy... Czyś i ty głodny?... — spytał Walka.

— Głodny, panie — odpowiedział Walek.

— Roztropne chłopię i śmiałe — zauważył Kwieciński.

— A nadewszystko obdarte — mruknął Leśkiewicz, brzydtko patrząc na chłopca, który swoją drogą już zaczął mu się podobać.

— No, Śledziu, ubieraj się... Gromada, idziesz z nami? — mówił Łukaszewski.

— Mam dziś prywatny obiad — odparł z nienaturalnym ożywieniem Gromadzki i znowu zabrał się do pisania.

Tymczasem Leśkiewicz zdjął marynarkę, potrzymał ją przez chwilę za kołnierz i nagle rzekł do chłopca:

— Włóż-no to... Nie tak, ośle, nie w ten rękaw... O tak... Phi, jak ta bestja wygląda!... Gdyby nie oberwane nogawice, możnaby go wziąć za hrabiątko...

Ubrany, niby w worek, w marynarkę Leśkiewicza, chłopak z dumą spoglądał na jej długie rękawy i mocno odstający przód. — Portki, jak morowe powietrze — wtrącił zamyślony Łukaszewski.

— Czekaście-no!... — wykrzyknął Kwieciński. — Z łoskotem otworzył szafę, zniknął w niej i po chwili wydobył stamtąd popielaty strój, który stanowi chlubę rodu męskiego, a przedmiot nigdy nie gasnącej zazdrości kobiet.

— Próbuj... przymierz!... — nalegał na chłopca, którego piegowata twarz zajaśniała uśmiechem.

Mierzenie spodni z dużego mężczyzny przez małego mężczyznę zwróciło uwagę wszystkich panów. Nawet Gromadzki wstał od przepisywania i z miną człowieka, który głębiej zna kwestję, zaczął robić spostrzeżenia, odznaczające się trafnością.

— Za długie — mówił — na ćwierć łokcia... o!... Za szerokie na dłoń...

— To musi zobaczyć krawiec — wtrącił Łukaszewski.

— Poco krawiec?... — oburzył się Gromadzki. — Nogawice trzeba uciąć o tyle... o!... Z tyłu wyciąć klin, o taki... o!... Paski przesunąć jeden tu, drugi tu... i wszędzie zeszywać podwójną nitką. Bo to przecie młody chłopak; żelazoby na nim pękło, a nie dopiero pojedyncza nitka... Ale Barbara może to zrobi bez krawca.

— Barbarja!... — wrzasnął Kwieciński, chwytając dzwonek i biegnąc do okna. — Barbarja!...

— Mama poszła na miasto — odpowiedział za oknem cienki głosik, jak ze studni.

— Słuchaj, Gromada, długo tu jeszcze zostaniesz? — spytał Łukaszewski.

— Do trzeciej... Proszony obiad mam o trzeciej... w prywatnym domu.

— Będzie używał! — rzekł Kwieciński.

— Jak na kartoflisku — mruknął Leśkiewicz.

— Więc zrobimy tak — mówił Łukaszewski — ja ci, Gromada, zostawię czterdzieści groszy, a ty zawołaj babę, daj jej to tymczasem i opowiedz, co ma zrobić ze spodniami. Możesz także wspomnieć o tej podwójnej nitce, bo to dobra myśl; ale nadewszystko daj niewolnicy w zęby, ażeby wzięła się zaraz. Pewnie dziś pojedziemy z chłopcem do teatru, więc musi być spreparowany, jak na ostateczny egzamin. Masz tu spodnie, masz czterdziestówkę, a morduj babę, ażeby skończyła przed wieczorem.

— Za pozwoleniem!... — rzekł pochmurny Leśkiewicz. Spostrzegłszy, że czterdziestówka jest nowa, zabrał ją ze stołu, a położył czterdziestówkę z dziurką. — Na zadatek i taka wystarczy — dodał.

— A teraz w drogę — rzekł Łukaszewski, widząc, że dwaj koledzy już stoją w czapkach. — Wiesz, gdzie idziemy? — spytał chłopca. — Na obiad do restauracji... Bądź zdrow, Gromada; a jak ci dadzą co dobrego, myśl o nas, jedząc.

I wyszli, a między nimi chłopak, w którego niekulturalnym umyśle wyraz „restauracja” przemienił się w „resztancję” i wywołał wspomnienie gminnego aresztu, gdzie dorośli za karę odsiadawali po kilka dni, a małoletnich wójt załatwiał w ciągu kilkunastu minut, ale także przy drzwiach zamkniętych.

Na dziedzińcu gromadka studentów zetknęła się z posłańcem, który, przypatrzwszy się im, wydobył z torby list i podał go Łukaszewskiemu, mówiąc:

— Pan Kwieciński...

Łukaszewski w pierwszej chwili doznał pełnego słodczy zakłopotania, jakby go oblano ciepłą wodą. Lecz gdy usłyszał nazwisko kolegi, a tem bardziej, gdy na kopercie przeczytał jego adres, zrobił minę kwaśną i, niedbale oddając list właścicielowi, rzekł:

— To do ciebie, Niezapominajko.

Kwieciński zdawał się być przerażony. Szeroko otwartymi oczyma przebiegł list, zmiął go i mruknął:

— A bodaj te baby choro...

— Cóżto?... Teklunia? — spytał Leśkiewicz, nie mogąc powstrzymać się od mimowolnego mrugania powiekami.

— Walerka! — mruknął Kwieciński.

— Słyszałeś?... — zdziwił się Łukaszewski, patrząc na Leśkiewicza. — Takie ma szczęście i jeszcze zły...

— Już za dużo!... — odparł Kwieciński, rozpaczliwie machając ręką.

Leśkiewicz potarł sobie bok, a idący z nimi chłopak zdawał się być pełnym roztargnienia; nie wiedział bowiem, na co patrzeć — czy na rojną i huczną ulicę, czy na piękną marynarkę, która zastępowała mu palto.

Gromadzki został w mieszkaniu sam, jak Marjusz na gruzach Kartaginy. Po prawej ręce miał amarantowy fotelik, z którego zwieszały się niedbale rzucone popielate spodnie; po lewej stół, na nim dziurawą czterdziestówkę, której blask napełniał cały pokój. Nieco dalej, na lewo, widział niedokończony rękopis, za który, choćby go nawet skończył, dopiero jutro może odebrać pieniądze; zaś naprzeciw, za oknem, wznosiła się ta sama ściana oficyny, na której tak jeszcze niedawno czytał oczyma duszy długi spis potraw tanich, tłustych, pożywnych, a nadewszystko gorących, bardzo gorących. Już nietylko z każdej potrawy, ale nawet z każdej nazwy dymiło się i pachniało świeżymi kartoflami, słoniną i przywarzoną cebulką.

Włożył obie ręce w kieszenie i wybuchnął demonicznym śmiechem:

— A... cha! cha!...

— Proszony obiad — myślał — na którym, jeżeli dadzą mi co dobrego, mam pamiętać o nich...

— A... cha! cha!...

Wczoraj może zjadłem ze sto dwadzieścia gramów białka, ze sto tłuszczu i ze czterysta wodorów węgla... Ale dziś... trochę cukru w herbacie i może z pięćdziesiąt gramów chleba, co znaczy: ze cztery igramy białka, jeden tłuszczu i przeszło dwadzieścia wodorów węgla... No, jak Boga kocham, że przy takim odżywianiu się nawet porządnie z głodu umrzeć nie można...

Kilka razy przeszedł się po mieszkaniu i znowu myślał:

— A, podły rządca!... Dlaczego on nie przyszedł jutro, po obiedzie?... Miałbym za przepisywanie i oddałbym za komorne, śpiewając... Dziś zjadłbym porcję kiełbasy z kapustą i kotlet wieprzowy z kartoflami, a ile chleba!... Przysięgam na Boga, że zebrałoby się ze sto dwadzieścia gramów białka, ze sześćdziesiąt tłuszczu, no... a węglowodanów... ile wlezie... A teraz co?... Mam ze sześć kawałków cukru... więc gdzie tu białko, gdzie tłuszcz?... Bodaj tych rządców i gospodarzy cholera, wścieklizna, nosacizna!...

— I to tak będzie do końca — mówił sobie, chodząc. — Co miesiąc komorne, co pół roku wpis... Korepetycyj niema, cudów także niema... Ucz się, zdawaj egzamina... Gdyby Leśkiewicz dał mi tę korepetycję, bah!... Ale onby mnie utopił w łyżce wody... Jak tylko odbiorę pieniądze za przepisywanie, pójdę do lecznicy i zważę się, a za dwa tygodnie drugi raz... Jeżeli mi wagi ubędzie, niech wszystko djabli wezmą... Przecie jeszcze znajdę postronek...

Spojrzenie jego padło na przedziurawioną czterdziestówkę, która w tej chwili jaśniała jak słońce. Stał obok stołu, patrzył na monetę i myślał:

— Gdybym kupił ze dwa funty chleba, a za resztę choćby kiszeki i salcesonu, miałbym prawie tyle, ile potrzeba, białka, węglowodanów i tłuszczu... Przytem gorąca herbata... W nocy dokończyłbym przepisywania... później do prosektorjum i do kliniki... Tak, za czterdzieści groszy można kapitalnie utrzymać równowagę organiczną...

Nagle błysnęły mu oczy i rumieniec uderzył na twarz. W całej postawie było widać determinację.

— Ja poprawię spodnie temu, temu za... smarkaczowi!... — wykrzyknął. — A jutro zwrócę im czterdzieści... kopiejek i powiem: nie miałem ani grosza, więc skróciłem portki i wziąłem czterdziestówkę. A dziś macie ją z procentem. Nie będę się przecież wyczerpywał, bo jeszcze się przydam.

Niezbyt prędkim, ale stanowczym krokiem poszedł do swego kufra, wydobył szpulkę czarnych nici, tudzież igłę, podobną do lancy... Potem naostrzył scyzoryk na marmurku. Następnie, wróciwszy

do pierwszego pokoju, rzucił na stół popielate spodnie, rozciągnął, odmierzył... Zamknął drzwi od sieni, wyszukał cienką, ale mocno oprawną książkę, przyłożył ją do nogawicy, jak linję, i chlast... chlast scyzorykiem. Za pierwszym razem na korcie zrobiła się kreska, za drugim wgłębienie, za piątym i szóstym kawałek nogawicy odpadł. To samo z drugą: odmierzył, położył książkę i ostrym scyzorykiem chlast!... chlast!... Znowu kawałek nogawicy odleciał; spodnie były skrócone.

Teraz Gromadzki nawłókł swoją kolosalną igłę, związał nitkę we dwoje, cofnął się w głąb pokoju, ażeby go nie widzieli sąsiedzi zprzeciwka, i zaczął zakładać i zeszywać skrócone nogawice. Robił to tak szybko i dokładnie, że sam profesor Kosiński musiałby go uznać za znakomitego chirurga.

Szył i myślał:

— Dwa funty chleba... salceson i kiszka podgardlana... Akurat będzie ze sto dwadzieścia gramów białka, ze sześćdziesiąt gramów tłuszczu i ze czterysta wodań węgla. A jutro oddaję czterdzieści kopiejek i idę do Wróbla na obiad z kawą i z piwem... Kufel piwa, nie... dwa kufle!... To mi się przecież należy...

W godzinę skończył obszywanie nogawic. Następnie odpruł ściągacze, znowu zapomocą książki i scyzoryka wyciął klin w pasie i znowu szył z prędkością kurjerskiego pociągu, a dokładnością maszyny rachunkowej. Żaden Nelaton, żaden Ambroży Paré, ojciec nowożytnej chirurgji, nie wykonał tak szczęśliwej operacji.

Wtem, kiedy już przyszywał drugi ściągacz, zapukano do drzwi. W Gromadzkim krew zastygła. Machinalnie wpiął igłę w mundur, popielate spodnie rzucił na łóżko Kwiecińskiego, i błądy jak kreda wybiegł do przedpokoju.

Dobijała się stróżowa.

— Czego chcecie? — niecierpliwie zapytał Gromadzki.

— Panowie kazali mi tu przyjąć... Może samowar nastawić?

— Nie potrzeba.

— To może zamieść, bo teraz mam czas...

— Niedługo wyjdę, to zamieciecie.

— A może co zeszyć? — spytała złośliwie stróżowa, patrząc na igłę, wpiętą w mundur Gromadzkiego.

Zawsze ją to bowiem gniewało, że taki pan, taki uczony, sam sobie wszystko naprawia, zamiast dać zarobek uczciwej kobiecie, obciążonej mężem i dziećmi.

— Dziękuję wam!... — odparł i zatrzasnął drzwi pod nosem troskliwej baby.

Odeszła, mrucząc jak niedźwiedzica, której zaniepokojono małe. Gromadzki wrócił do swej roboty, wziął się do niej z podwójną pilnością, ale w duszy jego zbudził się niepokój.

— Co tu robić?... — myślał. — Baba zaraz powie, że nie skracała spodni, a co ja im odpowiem, jeżeli zapytają o czterdziestówkę?... Kwieciński i Łukaszewski nie szykanowaliby mnie, ale Leśkiewicz?... Jutro zaraz przed całym uniwersytetem rozgada, że za czterdzieści groszy szyję cudze portki, jak świnia!...

Skończył szyć, obejrzał swoje dzieło i znalazł je pięknem. Ale choć żołądek wielkim głosem upominał się o białko, tłuszcz i węglowodany, leżąca na stole dziurawa czterdziestówka wydała mu się jakoś ciemniejszą i nawet brudniejszą.

Powiesił odnowione spodnie na drzwiach, zapalił papierosa i zaczął chodzić po mieszkaniu.

— Czterdziestówkę — myślał — zarobiłem, jak amen w pacierzu... Wziąć ją, czy nie brać?... Wczoraj także kiepsko jadłem, na jutro do wieczora nie mam nic... Organizm wypala się... suchoty... Ale jutro wszyscy krzykną, że świnia... Każdy wreszcie coś dał temu chłopcu: Niezapominajka

spodnie, Śledź marynarkę, a o minie powiedzą, zem chytry i że wyzyskuje takiego biedaka...

Po wypaleniu papierosa głód jakoś uspokoił się. Gromadzki zjadł jeden kawałek cukru, drugi... Następnie zaszedł do kuchenki, gdzie leżał węzełek chłopca i rozwiązał go. Były tam dwie koszule perkalowe, już brudne, majtki zgrzebne, także brudne, i dwie pary nowych skarpetek (dar panny Marji Ciechońskiej).

Gromadzki obejrzał ubogą bieliznę chłopca, biorąc każdą sztukę w dwa palce i wystawiając pod światło. I nagle serce ścisnęło mu się gwałtowniej aniżeli pusty żołądek na myśl, że on nic nie dał takiemu biedakowi, jak ten oto Walek. Wszyscy dali, nawet Leśkiewicz, a on nietylko nie dał nic, ale *jeszcze* chciał zjeść obiad na koszt nędzarza, który nie ma czystej koszuli.

— Podlec jestem!... — mruknął.

Zbliżył się do otwartego okna i zaczął wołać:

— Barbarja!... tu... tu!...

— Mamo, pan woła — odezwał się cienki głosik na podwórzu.

Gromadzki zapalił drugiego papierosa, włożył czapkę na bakier i czekał. Po niemałej chwili zapukała do drzwi stróżowa.

— Czego?... — zapytała pochmurnie.

— Macie tu — rzekł Gromadzki, wskazując na stół — czterdzieści groszy... A tu — dodał — jest brudna bielizna tego chłopca... Trzeba ją, wyprać na wtorek.

Ponure oblicze baby rozjaśniło się.

— Pan wychodzi? — rzekła — może samowar nastawić?

— Nie potrzeba — odparł. — Idę na obiad proszony.

I wyszedł z głową niezmiernie zadartą, trzymając ręce w kieszeniach, w których nie było ani grosza.

Po kilkuminutowej podróży, panowie Kwieciński, Leśkiewicz i Łukaszewski, tudzież ich protegowany Walek znaleźli się na podwórzu restauracji „Château de fleurs”, nazwanej tak z powodu kilku suchotnicznych kasztanków i bardzo rozmaitych a mocnych zapachów, które wydobywały się z kuchni, zalewały podwórko, a niekiedy i ulicę.

Ażeby zasłonić przed oczyma ciekawych niedokładności garnituru Walka, młodzieńcy wybrali najbardziej odległy i samotny stolik, zapakowali chłopca w kąt i usiedli w taki sposób, że prawie nie było go widać. Gdy zaś przez dłuższą chwilę nikt się do nich nie zgłaszał, pochmurny Leśkiewicz zawołał:

— Panienko!... cóż, u diabła! czy myślicie, że dziady do was przyszły?

Na to uprzejme wezwanie przybiegło do nich dosyć pełnoletnie dziewczę w różowej sukni, z figlarnym uśmiechem, którego wdzięk nieco osłabiał garnitur spróchniałych zębów.

— Dzień dobry!... moje uszanowanie!... Ach, i pan Łukaszewski przyjechał?... — mówiło dziewczę, wciąż chichocząc. — Myślałam, że panowie siadają, jak zwykle, u Elżbietki... Ale widać straciła już łaski...

Leśkiewicz patrzył na nią z pod oka i, zmiarkowawszy, że wobec ogółu zalet dziewicy można nie myśleć o jej zębach, wziął ją za rękę. Dziewczę nie bronilo się, tylko, dla kompensaty, oparło drugą rękę na ramieniu Łukaszewskiego, a biustem dotknęło głowy Kwiecińskiego, który zawsze miał najwięcej szczęścia do kobiet.

— A to co za indywiduum? — spytała panienska, wskazując brodą w kierunku Walka.

— Nasz syn — odparł Leśkiewicz i tkliwie uściskał ją bliżej łokcia.

— Chi... chi... chi!... nigdy nie uwierzę, ażeby pan Kwieciński miał tak brzydkiego syna.

Chwilowe ożywienie Leśkiewicza zgasało, jak zdmuchnięta świeca. Odepchnął rękę niewdzięcznej, spochmurniał jeszcze bardziej i zaczął zcicha gwizdać, jakby drwił z Kwiecińskiego, że ma powodzenie u kobiet ze spróchniałymi szczękami.

Ale Kwieciński, zwany także Niezapominajką, okazał się obojętnym na wyróżnienie go z pośród kolegów. Poruszył się tak niecierpliwie, że dziewczę w różowej sukni musiało się cofnąć, i rzekł twardym głosem:

— Co jest na obiad?

— Ja panom poradzę, co mają wybrać: barszcz z uszkami...

— Barszcz — odparł Łukaszewski. — I dla małego barszcz.

— Barszcz — powtórzył Kwieciński.

— Rosół — rzekł gniewnie Leśkiewicz, nie patrząc na tę, która Kwiecińskiemu dała pierwszeństwo.

— Sztuka mięsa i ozór na szaro — ciągnęła dalej panienska.

— Sztuka mięsa — odpowiedziano chórem, Łukaszewski zaś dodał:

— A dla małego i sztukę mięsa, i ozór. Tylko dużo sosu, niech użyje...

W ten sposób zadysponowano cały obiad, a gdy panienska odbiegła, rzuciwszy Kwiecińskiemu melancholijne spojrzenie, niewdzięcznik ten szepnął:

— To szturmak!...

— Znać, że się zaręczył — westchnął Łukaszewski.

— I że oprócz tego ma jeszcze na karku Teklunię i Walerkę — wtrącił Leśkiewicz.

— Bój się Boga, jeszcze nie zerwałeś z Teklunią? — zapytał Łukaszewski.

— Bah! — odparł smutnie Kwieciński. — Zerwałem, ale muszę widywać się z nią, ażeby się uspokoiła. Mówi, że sobie życie odbierze, więc...

— A cóż to znowu za Walerka?

— Z magazynu — rzekł Kwieciński, zwieszając głowę. — Spotkałem ją na Nowym Świecie, upuściła parasolkę... podniosłem... Zaczęliśmy rozmawiać... Potem zapytałem jej, w najniewinniejszej myśli: czy sama mieszka? Odpowiedziała, że z przyjaciółką, która często wychodzi z domu... Cholera!... — zakończył Kwieciński, uderzając ręką w stół.

Dziewczę w różowej sukience przyniosło trzy barszcze i jeden rosół, potem rozmaite gatunki mięsa i legumin, potem mnóstwo kawy i piwa. Walek, przeżegnawszy się, zjadł barszcz jako tako, ale rozsywał sól i ochlapał się sosem. Opiekunowie jego bardzo prędko spostrzegli, że chłopiec nie umie posługiwać się nożem, ani widelcem, skutkiem czego Leśkiewicz musiał mu pokrajać mięso i uczyć go władania widelcem.

W ciągu tych kłopotliwych zajęć. Łukaszewski zrobił uwagę:

— Pięknie się tu prowadzicie!... Kwieciński, zaręczony na wsi, ma dwa ananasy w Warszawie, a i ty, Śledziu, musisz się zdrowo łajdaczyć?...

— Ja?... — odparł Leśkiewicz, wysoko wznosząc ramiona.

— Nigdy nie byłeś zbyt przyjemnym towarzyszem — ciągnął Łukaszewski — ale dziś wyglądasz jak zbój.

— Bo mam moralne udręczenia.

— Martwi się tem, że wkrótce upadnie cywilizacja europejska — wtrącił Kwieciński.

Podano kawę czarną (Walkowi także), potem piwo (Walkowi też). Leśkiewicz oparł łokieć na stole, a głowę na rękę i rzekł:

— Posłuchajcie mnie. Jeżeli chcecie, abym z wami mieszkał, to dajcie Łukaszowi i mnie pierwszy pokój, a Kwieciński z Gromadzkim niech zajmą drugi. Ja z tym podłym Gromadą nie chcę nocować!...

— Oszalałeś!... — zdziwił się Kwieciński. — Przecie mieszkałeś z nim cały rok...

— I przez ten czas poznałem, jakie to ziółko: sknera, egoista... Brudny egoista!... — mówił rozgniewany Leśkiewicz.

— Mój Śledziu — rzekł uroczyście Kwieciński. — Wolno ci nie dać Gromadzie korepetycji, choć jabym tego nie zrobił. Ale aż tak szykanować człowieka...

— Co to za korepetycja? — zapytał Łukaszewski.

— Ma u krewnych lekcję za piętnaście rubli, powiedział to przy Gromadzkim, i nie chce mu jej dać. Świnie tak robią!... — mówił zirytowany Kwieciński.

Walek, nieco blady, wstał nagle od stołu i zaczął wałęsać się po ogródku.

— O cóżeś się tak zajadł na Gromadę? — spytał Leśkiewicza Łukaszewski. — Że cię nazwał śledziennikiem?... Miał rację, bo nim jesteś.

— Nie o to! — krzyknął Leśkiewicz, uderzając pięścią w stół. — Ale brzydzę się podłymi egoistami i dusigroszami, i nie pozwolę, ażeby dziecko moich krewnych miało podobnego nauczyciela... Brr!...

— Gdzie zaś Gromadzki egoista?... To biedak z pod ciemnej gwiazdy! — odparł Łukaszewski.

— Zaraz ci powiem — mówił Leśkiewicz, oglądając się. — Dobrze, że chłopak poszedł sobie. O, weź chociażby ten wypadek... Popiel chłopca uczył, ty go przywiozłeś, każdy coś mu dał... A Gromadzki co?... Nie dał mu nawet starych szelek, nie poszedł z nami na obiad, ażeby nie złożyć się na wykarmienie dzieciaka... Zresztą... co tu dużo gadać? Kiedy Niezapominajka dał Walkowi swoje spodnie, Gromadzki powinien był dać pieniądze na przypasowanie ich. Tymczasem ty dałeś

czterdziestówkę, a on z całą beczelnością podjął się pośrednictwa u stróżowej... To tak robi człowiek, mający ambicję?...

— Może jest goły — wtrącił Łukaszewski.

— Goły? Na mieszkanie zaraz wyłożył sześć rubli, a za przepisywanie zapłaci mu jutro kilka rubli. Cha! cha!... — zaśmiał się Leśkiewicz. — Gromadzki to takie bydlę, iż nie dałbym grosza, że sam naprawi chłopcu spodnie, a czterdziestówkę schowa... Barbara jej nie zobaczy...

— To ty jesteś bydlę, Śledziu — odparł oburzony Kwieciński. — Gromada jest taki poczciwy, że nawet tobie zreperowałby portki, gdybyś nie miał na krawca, ale pieniędzy nie wzięłby... Ja go przecież znam...

— Patrz-no...

W tej chwili nadzwyczajne zjawisko przerwało dalszy spór kolegów. Walek skrył się za śmietnik i dostał wymiotów. Opiekunowie chłopca, panienci, nawet kuchcik, przybiegli cierpiącemu na ratunek. Podano mu wody...

— Barszcz, ozór, dwie leguminy, piwo... wszystko djabli wzięli!... — mrucał Leśkiewicz. — Widocznie musi mieć katar żołądka, biedny chłopiec.

I w sercu zbudziła mu się jeszcze większa sympatja dla Walka.

— Głupstwo się stało — rzekł strapiony Łukaszewski. — Oczywiście, chłopak przywykł do prostego jadła, a daliśmy mu frykasy...

— Żeby tak samo nie stało się z jego edukacją!... — szepnął wylękniony Kwieciński.

Powoli chłopak uspokoił się, odzyskał rumieńce, odpoczął. Następnie trzech opiekunowie otoczyli go kołem i wśród śmiechu jednych, a ubolewania innych gości wyprowadzili na ulicę.

Kwieciński zawołał dorożkę i rzekł do kolegów:

— Odwieźcie malca do domu, a ja muszę pójść...

— Do Walerki — wtrącił Leśkiewicz, podsadzając do powoziku chłopca.

Kwieciński pogardliwie spojrział na Śledzia, lecz gdy dorożka ruszyła, zatrzymał ją i szepnął do Łukaszewskiego:

— Gdyby was napadła w domu Tekla, powiedzcie, że chory i że poszedłem do doktora... Tak będzie najlepiej!...

— Już my się nią zajmiemy — rzekł szydlerzo Leśkiewicz. Szybko i bez przygody zajechali do domu. Łukaszewski

chciał Walka wziąć pod rękę, ale chory wpadł na schody jak zajac, i już wyglądał z drugiego piętra, nim opiekunowie dostali się na pierwsze. Mimo to Łukaszewski kazały chłopcu rozebrać się, położył go na swoim łóżku, starannie opukał i wysłuchał ze wszystkich stron, co nawet obudziło zazdrość w Leśkiewicz, który oddawna nie był opukiwany.

W rezultacie Łukaszewski, uspokoiwszy się, że chłopcu nic nie będzie, zawołał stróżową i kazał jej nastawić samowar. Jednocześnie Leśkiewicz spostrzegł wiszące spodnie, już naprawione, i... pilnie je obejrzał.

— A podeszywaliście tak, jak wam pokazał pan Gromadzki? — odezwał się Łukaszewski do Barbary.

— Co podeszywałam? te majtasy?... — zapytała zdziwiona stróżka. — To przecie nie ja... Pan Gromadzki coś majstrował igłą, może on zeszył... — dodała tonem, w którym czuć było ironję i niechęć.

— Nie mówiłem!... — pośpiesznie wtrącił Leśkiewicz, patrząc triumfalnym wzrokiem na Łukaszewskiego. — Ciekawym tylko, gdzie czterdziestówka?... — dodał złośliwie.

— Czterdziestówkę — odezwała się Barbara — dał mi pan Gromadzki, żeby wyprać bieliznę

chłopcu. Ale jej pewnie nikt nie weźmie, bo dziurawa...

I wydobyła z kieszeni pieniądze, ten sam, który Leśkiewicz, idąc na obiad, własną ręką położył na stole.

Leśkiewicz, zobaczywszy to, zmieszał się naprawdę. Szeroko otworzył oczy i usta, z których znikł wyraz sarkazmu, i prawie wylężniony patrzył na czterdziestówkę.

— Przynieście cytrynę — rzekł Łukaszewski do stróżowej, a gdy wyszła, odezwał się do zakłopotanego kolegi:

— No, a co teraz?...

I z wyrzutem patrzył mu w oczy.

— Ale poco on to zrobił? — pytał Leśkiewicz, usiłując odzyskać dobrą minę.

— Poto, że chciał coś ofiarować chłopcu, a że jest goły jak bizun, więc poprawił mu spodnie i kazał wyprać bieliznę — odparł Łukaszewski. — Czy już tak skamieniał ci mózg, Śledziu, że nawet tego nie rozumiesz?... Dusigrosz!... egoista!... — mówił, śmiejąc się. — A ja ci powiadam, że Gromada ma więcej szlachetności nietylko od ciebie, ale od nas wszystkich... To człowiek...

Leśkiewicz głęboko zamyślił się. Chodził po pokoju, gryzł wargi, wyglądał oknem. Wreszcie zabrał czapkę i wyszedł, nie pożegnawszy się nawet z Łukaszewskim.

Był głęboko dotknięty, i coś zaczęło w nim fermentować; ale czy na złe, czy na dobre, Łukaszewski nie mógł odgadnąć.

— Może Śledź wyprowadzi się od nas?... — pomyślał.

Kiedy Leśkiewicz wrócił do domu, było już dobrze po północy.

W kuchni na sienniku spał zwinięty w kłębek i przykryty pledem Walek. Leśkiewicz zapalił zapałkę i obejrzał chłopca: dzieciak był rumiany, miał głowę chłodną i bynajmniej nie wyglądał na chorego.

— No, przecie... — mruknął Śledź.

Wszedł do pierwszego pokoju i znowu zapalił zapałkę. Tu, na żelaznym łóżku, w nadzwyczajnej pozie, rozciągnął się Łukaszewski: był do połowy zawinięty w kołdrę, nogi wytknął za łóżko, rękę oparł na ścianie, głowę na materacu, poduszka zaś wysunęła mu się wysoko, na poręcz.

Na drzwiach, jak podwójny wyrzut sumienia, wisiały popielate spodnie, które poprawił Gromadzki. Leśkiewicz westchnął na ten widok, i zbliżywszy się do Łukaszewskiego, próbował go obudzić.

— Łukaszu! Łukaszu!... — rzekł pieszczotliwym tonem.

— Pójdiesz won!... — mruknął zaspany Łukasz.

— Naturalnie — myślał śledziennik — pogardza mną... Jutro nikt mi ręki nie poda, a Gromadzki naplwa mi w oczy... Tak posądzać niewinnego człowieka!... O, jakże jestem podły!...

W drugim pokoju swędziła przykręcona lampa naftowa. Leśkiewicz podniósł płomień. Kwiecińskiego jeszcze nie było. Na stoliku leżał rękopis, przepisywany przez Gromadzkiego, a on sam także spał na żółtym drewnianym łóżku, kupionem na Pociiejowie za osiem złotych.

Leśkiewicz stanął nad śpiącym, który musiał mieć jakieś niespokojne marzenia, bo zrzucił z siebie kołdrę. Gromadzki miał chudą twarz, spieczone usta i brzuch okropnie zakłęsły, jakby pusty od wielu dni.

Na widok starej kołdry, podartej koszuli, a nadewszystko na widok tak pustego, tak wygłodzonego żołądka, Leśkiewiczowi ścisnęło się serce. Sam nie wiedząc, co robi i co mówi, targnął Gromadzkiego za rękę.

— Czego? — mruknął nieprzytomny.

— Gromada — rzekł Leśkiewicz — jadłeś ty obiad?

— Kiedy?... — zapytał śpiący, nagle siadając na łóżku.

— Kiedy!... on pyta się, kiedy jadł obiad!... — powtórzył Leśkiewicz, zwany także Śledziennikiem.

A gdy rozbudzony kolega patrzył na niego dziwnym wzrokiem, rzekł:

— Poczciwy jesteś, Gromada, żeś oddał do prania bieliznę chłopca.

— No, więc i cóż?... — odparł Gromadzki, już odzyskując zmysły. — Poto mnie budzisz? — dodał.

— Widzisz... widzisz... — mówił całkiem zmieszany Leśkiewicz, i dobrze nie wiedząc, co mówi — widzisz... tego... Możebyś mnie opukał...

I to powiedziawszy, zawstydził się własnej głupoty.

— Chory jesteś? — zapytał Gromadzki, spuszczać nogi z łóżka.

— Tak... chory... struli nas obiadem...

— No, to rozbierz się i kładź się — odparł Gromadzki, owijając się w swoją starą kołdrę i kładąc na gołe nogi nie lepsze od niej kalosze.

— Jaki to poczciwy chłopak! — myślał Leśkiewicz — a ja go tak krzywdziłem...

W parę minut rozebrał się do bielizny i był na swoim łóżku. Gromadzki usiadł przy nim i zaczął

badanie.

- Wiesz, Gromada, byłem dla ciebie niesprawiedliwy...
- W jamie brzusznej niema nic osobliwego... — Myślałem, żeś ty dusigrosz i egoista...
- Wątroba normalna... śledziona także...
- Ale dziś przekonałem się, żeś ty szlachetny chłopak, Gromada...
- Cóż ci dolega? — pytał Gromadzki.
- Tak jakoś, o... tak... niedobrze mi wogóle...
- Wrażenia subiektywne.
- Ale może to zapowiedź ciężkiej choroby?... — pytał Leśkiewicz.
- No, to pokaż język,.. Nic osobliwego... Puls... Bój się Boga, ty masz nawet puls normalny, więc czego chcesz?...

Leśkiewicz nagle podniósł się, i schwyciwszy Gromadzkiego za rękę, rzekł:

— Gniewasz się na mnie, że tak podle postępowałem z tobą?...

— Dajże spokój!... cóż ty mi zrobił?...

— Mówiłem, żeś egoista i dusigrosz...

— Ba, żebym choć miał co dusić... — szepnął Gromadzki.

— Będziesz miał!... — zawołał Leśkiewicz. — Jutro dam ci tę korepetycję i jeszcze postaram się o drugą... Będziesz miał ze dwadzieścia pięć rubli!...

— Co w ciebie wstąpiło? — dziwił się Gromadzki.

— Dziś poznałem, że jestem niesprawiedliwy osieł... A ty, biedny hołyszu, nie masz co jeść!...

Nie gniewasz się na mnie? — mówił bardzo wzruszony Leśkiewicz.

W tej chwili z trzaskiem otworzyły się drzwi kuchni, i wpadł Kwieciński.

— Powarjowaliście! — krzyknął, zobaczywszy Leśkiewicza i Gromadzkiego w objęciach, obu prawie do naga rozebranych. Z Gromadzkiego bowiem spadła kołdra, a opukiwany przed chwilą Leśkiewicz również nie odznaczał się obfitym strojem.

— Pogodziliśmy się z Gromadą — rzekł Leśkiewicz.

— Ja bo nawet nie gniewałem się na ciebie — odpowiedział Gromadzki.

— Jeżeli tak, więc musisz ode mnie pożyczyć trzy ruble — zakonkludował Leśkiewicz. —

Niepodobieństwo, ażeby człowiek nie jadał obiadów.

— Wprowadziłem się — szepnął Gromadzki.

— Bodaj was djabli porwali, łajdaki!... — krzyknął z pierwszego pokoju Łukasz.

— Nie przeszkadzaj, bo oni się godzą — rzekł Kwieciński.

— To niech idą godzić się na podwórze, a nie tu, gdzie budzą ludzi... Ty skąd wracasz? — spytał

Łukaszewski Kwiecińskiego.

— Od Tekluni.

— Więc u Walerki już nie byłeś?

— Owszem — cicho odparł Kwieciński.

Przygotowano na podstawie bookini.pl